

KTO BYŁ PRZESLADOWCA?  
KTO BYŁ OFIARA?

CZY ROMAN POLAŃSKI WIEDZIAŁ  
ŻE SAMANTHA MA TYLKO 13 LAT?

A MOŻE MATKA SAMANTHY GEIMER  
ZAARANŻOWAŁA TO WSZYSTKO, BY GO  
SZANTAŻOWAĆ, UŻYWAJĄC DZIEWCZYŃKI  
JAKO PRZYŃĘTY?

DO DZIŚ TRWAJĄ O TO SPORY.

Na temat sprawy Polańskiego powiedziano i napisano  
bardzo wiele. Jednak w dyskusji nie brała dotąd udziału  
sama poszkodowana – Samantha Geimer.

Ta książka powstała po aresztowaniu Romana  
Polańskiego w Szwajcarii we wrześniu 2009 roku. Kiedy  
uwaga mediów ponownie po latach została skierowana  
na Samanthę, ta postanowiła wreszcie przerwać  
milczenie.

MBP Cieszanów  
Dziewczynka : życie w ci...



0000028416

Pascal

SAMANTHA GEIMER

DZIEWCZYŃKA

SAMANTHA GEIMER

DZIEWCZYŃKA

ŻYCIE W CIENIU ROMANA POLAŃSKIEGO

kontra Jarndyce z *Samotni* Dickensa, która ciągnęła się przez całe pokolenia. Sprawa, którą właśnie przyjął, miała się ciągnąć – w różnych formach – przez następne trzydzieści sześć lat. Zresztą wciąż nie została zakończona.

## ROZDZIAŁ 9

Zanim skończyłam szkołę, przez kilka miesięcy żyłam jak we mgle. Moja matka, która zazwyczaj fotografuje bez opamiętania, zupełnie przestała robić zdjęcia. Chyba obawiała się, że w jakiś dziwny sposób zdjęcia z tego roku zamienią się w materiał dowodowy. A może to była jej reakcja na fotografie, które zrobił mi Polański. Zamieniliśmy się w odludków. Przez całe życie mama uwielbiała przyciągać uwagę. Teraz marzyła, byśmy stali się niewidzialni.

W Europie opublikowano moje nazwisko\*, więc telefon nie przestawał dzwonić. Mama i Bob zmienili numer, ale reporterzy zdobyli nowy. Bywały takie dni, że wszyscy podskakiwali na sam dźwięk dzwonka telefonu.

Pewien wyjątkowo pomysłowy fotograf przesiadł w brązowym kombi przed naszym domem

\* Amerykańskie media zazwyczaj nie publikują nazwisk ofiar gwałtu, wychodząc z tradycyjnego (i mam nadzieję już przestarzałego) założenia, że byłoby to dla nich upokorzenie i uszczerbek na reputacji. A poza tym jedną z przyczyn, dla których tak wiele gwałtów nie zostaje zgłoszonych, jest fakt, że ofiary nie chcą występować publicznie (przyp. aut.).

przy Peonia Road. Wyglądałam przez okno i widziałam teleobiektyw w oknie od strony kierowcy. Obecność tego obiektywu zmieniła sposób, w jaki się poruszaliśmy. Zamieniliśmy się w podejrzanych zbiegów wymykających się z własnego domu.

Pewnego dnia zadzwonił prezenter radiowy z Chicago, a Bob przez nieuwagę powiedział moje nazwisko. Mama na niego nawrzeszczała.

Kim nigdy nie radziła sobie dobrze z tymi najściami. Pewnego dnia, gdy podniosła słuchawkę i ktoś zapytał, czy jesteśmy prostytutkami, nie powstrzymała się przed okrzykiem: „Ty skurwysynu!”. Być może nieprzypadkowo posypały się doniesienia o nienormalnej rodzinie w samym środku sprawy Polańskiego.

Rona Barrett, dziennikarka telewizyjna zajmująca się plotkami, była jedną z nielicznych osób z mediów, które okazały odrobinę przyzwoitości. Kilka razy zadzwoniła do domu i grzecznie spytała, czy może się spotkać z mamą i ze mną. Obiecywała, że będzie delikatna. W tym okresie mama i Bob właściwie nie wierzyli już w dobre intencje i gdy dzwonili dziennikarze, odkładali słuchawkę. Ale tym razem, gdy Bob odebrał telefon, coś w jej głosie sprawiło, że właściwie się załamał.

– Proszę – powiedział. – Proszę tego nie robić. Przechodzimy trudny okres. Proszę pomóc nam ją ochronić.

– Jasne, rozumiem.

To samo powiedziały wcześniej dziesiątki reporterów, a potem i tak dzwonili albo pojawiali się w naszym domu. Ale Barrett dotrzymała słowa i więcej nie zadzwoniła.

Moja rodzina bardzo, ale to bardzo potrzebowała ucieczki. Matka szukała spokoju, więc w trakcie Holi, hinduskiego święta wiosny, wybraliśmy się na krótkie wakacje do Miami. Towarzyszyli nam siostra mojej mamy Kathy i jej chłopak Bruce. Na lotnisku dostałam burę za mój notes, którego okładkę ozdobiłam błyskotliwymi przemyśleniami na temat bycia nastolatką w latach siedemdziesiątych: „Życie jest chujowe, a na końcu umierasz”, „Szydź ze śmierci, bój się tylko utraty dumy – Aerosmith”. Mama zawsze bała się, że ktoś zrobi mi zdjęcie, które przedstawi mnie w negatywnym świetle, a ja byłam wściekła i zmęczona ciągłym wysłuchiwaniami, jak mam się zachowywać.

Z Holi pamiętam bieganie, tańce i opryskiwanie kolorową wodą różaną w parku. Ale nie to było najważniejsze. Kathy i Bruce byli wyznawcami guru Maharaja Ji (obecnie znanego jako Prem Pal Singh Rawat), który głosił, że człowiek może odnaleźć spełnienie poprzez skupienie się na swoim wnętrzu i odnalezienie w nim niewyczerpanego źródła pokoju i radości. Oto próbka:

*Wszechświat jest niesamowity, ale bardziej fascynujące niż pojęcie jego samego jest zrozumienie, że to, co go napędza, dzieje się w nas już teraz i możemy tego doświadczyć. Gdy to się uda, napętnią nas radość, jasność i pokój.*

*Wtedy właśnie doświadczymy prawdziwego, najprawdziwszego szczęścia.*

Można to nazywać sektą lub ruchem rozwoju osobistego. Dziś ludzie nie wiedzą lub zapominają, jak wielu inteligentnych, dobrze wykształconych ludzi eksperymentowało z nimi w tamtych czasach. Moja matka pochłaniała terapie jak chipsy – Gestalt, Fritz Perls, J. Krishnamutri – była zachwycona ideą zmiany i rozwoju. Ojciec natomiast był innego zdania. Powiedział jej kiedyś: „Nie chcę się rozwijać. Jestem już rozwinięty. Lubię siebie takiego, jakim jestem” – zapewne było to początkiem końca ich małżeństwa. Dobrze było poszukiwać prawdy, a skoro znajdowało się ją poprzez faceta, który był wędrownym graczem na banjo, aż nagle zdecydował, że jest bogiem – cóż, niech będzie. Mówię o Melu Lymanie, założycielu Fort Hill Community, transcendentalnej komuny hipisowskiej z Bostonu, która ogłosiła go mesjaszem, a jego muzykę uznała za świętość. Przyciągnął wielu zamożnych i wpływowych zwolenników, jednak ostatecznie chęć rabowania banków

wygrała z poszukiwaniem pokoju na świecie. Matka spędziła nawet weekend w Esalen Institute w Big Sur w Kalifornii. Podobne miejsce zostało przedstawione w filmie z 1969 roku *Bob i Carol i Ted i Alice*. Esalen Institute propagował „niekończące się odkrywanie ludzkiego potencjału”, a wśród swoich zwolenników miał między innymi Richarda Buckminstera Fullera i Linusa Paulinga\*.

Myślcie sobie, co chcecie, ale w czasie, gdy w naszym życiu panował ogromny bałagan, guru Maharaj Ji dawał mojej rodzinie poczucie komfortu. I choć w wieku czternastu lat nie byłam pod żadnym względem dostrojona do jego nauk, samo przebywanie w tym środowisku dawało mi poczucie, że mogę zamienić wszelkie niepowodzenia w okazję do nauki – a co za tym idzie, pokonać zło.

Po Holi wróciliśmy do Woodland Hills. Obchodziłam urodziny z rodzicami i przyjaciółmi – Terri, Stevenem oraz nowym kolegą, który walczył o moje względy i pomagał mi o nim zapomnieć. Impreza była skromna: mama zrobiła wielkie ciasto marchewkowe z pomarańczową marchewką z lukru na wierzchu – identyczne jak na wszystkich imprezach rodzinnych.

\* Buckminster Fuller – amerykański architekt, teoretyk, wynalazca i futurysta; Linus Pauling – amerykański fizyk i chemik, dwukrotny laureat Nagrody Nobla (przyp. tłum.).

Na Wielkanoc pojechałam do Yorku – to były fantastyczne wakacje. Wszyscy zakładali, że noc z Polańskim sprawi, że przez lata będę stronić od seksu. Tego ludzie oczekiwali, tego zdawali się chcieć. Więc oczywiście miałam ochotę zrobić im na przekór. W Yorku spotkałam Johna, przystojnego chłopca z sąsiedztwa, z burzą blond włosów jak Shaun Cassidy\*, John zachwycił się mną, gdy tylko się poznaliśmy. Po koszmarnym miesiącu, podczas którego zostałam porzucona przez pierwszego chłopaka, na którym mi zależało, i przydarzyła mi się historia z Romanem, tego właśnie potrzebowałam. Pierwszy kwietniowy wieczór spędzony na całowaniu się na ganku zaowocował następnego dnia prezentem: krzyżem na łańcuszku, a potem, jeszcze tej nocy, pićciem, paleniem trawy i cudownym – przynajmniej z początku – seksem. Jest coś niesamowicie naiwnego, a jednocześnie sexy w dawaniu krzyżyka w prezencie.

Dopiero co skończyłam czternaście lat, więc pewnie powinnam była czuć się winna. Nie było tak. Miałam poczucie, że powinnam zmyć z siebie koszmarnie doświadczenia, a John był jak długi ciepły prysznic. Ojciec był wściekły, gdy znalazł w domu

\* Shaun Cassidy – amerykański producent telewizyjny, aktor i piosenkarz popularny w latach siedemdziesiątych (przyp. tłum.).

jego bibułki, ale ostatniego dnia mojego pobytu zmiękł. Spotkaliśmy się w domu i oglądaliśmy razem w telewizji George'a Carlina\*. Następnego dnia wyjechałam, żeby zmierzyć się z problemem czekającym na mnie w domu. Ale przynajmniej miałam powód, by tęsknić za latem.

Choć trudno było wracać do domu, by stawić czoła kolejnym zaprzeczeniom Romana oraz szkalowaniu naszej rodziny – to był mój najlepszy rok w szkole. Moją ulubioną nauczycielką była pani Mallot z kółka teatralnego: bardzo mnie lubiła i choć trudno mnie było uznać za wschodzącą gwiazdę – zazwyczaj dostawałam role stenotypistek i chórzystek – teatr wydawał mi się bezpieczną przystanią. To jest chyba charakterystyczne dla szkolnych wyrzutków, co może potwierdzić każdy, kto oglądał *Glee*.

Inni nauczyciele także byli, powiedzmy, alternatywni. Jeden wlewał sobie do termosu tyle alkoholu, że było go czuć z końca klasy, a niektórzy dylowali trawą, żeby uzupełnić swoje kiepskie dochody. Pod koniec lat siedemdziesiątych trawa była nieco innym narkotykiem niż dzisiaj: dużo słabsza niż dzisiejsze halucynogeny, trochę jak wielka lampka wina, po której masz wizje słończników i tęczy.

\* George Carlin – jeden z najsłynniejszych amerykańskich komików *stand-upu* (przyp. tłum.).

Także relacje uczniowie-nauczyciele były zupełnie inne niż dzisiaj. Dużo cieplejsze i nie do końca zdefiniowane – owszem, im byliśmy starsi, tym częściej przekraczali granicę. Ale choć zdarzały się odrażające przypadki, nie miały one kryminalnego charakteru. W zasadzie nie chodziło tylko o relacje uczeń-nauczyciel, ale o wszystkie, w których brakowało równowagi sił – jak moja z Polańskim. Nie postrzegano ich wtedy aż tak negatywnie jak dziś.

Zastanawiałam się nad tym niedawno, czytając o powszechnym wykorzystywaniu seksualnym dzieci w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych przez nauczycieli w Horace Mann, elitarnej prywatnej szkole w Nowym Jorku. Jeden z cenionych nauczycieli – kapelan i trener biegów przełajowych – którego oskarżono o uprawianie seksu z wieloma chłopcami, ma obecnie osiemdziesiąt dziewięć lat i mieszka w Santa Cruz w Kalifornii. Wyjaśnił swoje zachowanie w wywiadzie dla „New York Timesa”. „Mogę was jedynie zapewnić, że wszystko robiłem z ciepłem i uczuciem i nie wykorzystywałem swojej władzy – powiedział. – Być może wykroczyłem poza normy społeczne. Jeśli tak, przepraszam”.

To bardzo interesujący dobór słów. Jeśli jesteście w niewłaściwym wieku – za starzy albo za młodzi – przeczytacie to i pomyślicie: „Cóż to za stek samousprawiedliwiających bzdur”. Ale jeśli w latach

siedemdziesiątych mieliście od trzynastu do czterdziestu pięciu lat – zrozumiecie, że on mówi szczerze, wierzy w to i naprawdę robił to wszystko bez kalkulowania i złośliwości. Doświadczenie erotyczne było wówczas postrzegane jako coś pozytywnego, nawet jeśli był to czysty seks. Uważano, że rozwój emocjonalny następuje poprzez rozwijanie seksualności – zarówno u osoby posiadającej władzę, jak i u tej relatywnie jej pozbawionej. Warto to wziąć pod uwagę, bo w takim paradygmacie funkcjonował właśnie Roman Polański w 1977 roku. Niezależnie od tego, jak niewłaściwy był jego czyn, nie mam żadnych wątpliwości, że nie byłam dla niego ofiarą. Nie każdy jest w stanie to zrozumieć, ale on nigdy nie chciał mnie skrzywdzić – chciał, bym odczuwała przyjemność. Był arogancki i napalony. Ale jestem przekonana, że nie chciał czerpać przyjemności z mojego bólu.

A jednak bolało mnie. Wciąż pamiętam popołudnie niedługo po gwałcie, gdy czułam się... można chyba powiedzieć „w matni”. Wzięłam żyletkę i zaczęłam robić niewielkie nacięcia na nadgarstku. Nie takie, by zrobić sobie naprawdę krzywdę, ale wystarczające, żeby bolało. Widok maleńkich kropelek krwi sprawił, że poczułam się lepiej. Były też pretekstem, by zwrócić na siebie uwagę Steve'a, którego wciąż kochałam. Zmusiłam go, żeby przysiągł, że nic nie powie swojej matce. Oczywiście i tak to zrobił,

więc ta zadzwoniła do mojej i czułam się strasznie skrępowana, bo wcale nie miałam zamiaru się zabić. Ale z perspektywy czasu doskonale wiem, o co mi chodziło – chciałam poczuć ból fizyczny, by zduścić emocjonalny. Wiem, o co chodzi w cięciu się – i rozumiem, dlaczego dziewczyny to robią.

## ROZDZIAŁ 10

Gdy wiosna przeszła w lato, do Larry'ego zadzwonił Roger Gunson z informacją, że pewne wydawnictwa prasowe złożyły petycję do sędziego Rittenbanda, by upublicznił zeznania przed wielką ławą przysięgłych, i że prokurator okręgowy się temu nie sprzeciwi. Gunson nie spodziewał się też, by sprzeciw wniósł Dalton, adwokat obrony, a poza tym słyszał, że sędzia Rittenband już podjął decyzję, by zaakceptować wniosek o upublicznienie protokołów zeznań.

Najbardziej interesujące były zeznania moje, mojej matki i Kim. Przedstawiały wydarzenia tamtego wieczoru ze wszystkimi szczegółami, które dotąd nie dotarły do opinii publicznej ani do moich znajomych, kolegów ze szkoły czy nauczycieli. Najwidoczniej wszystkim zależało, żeby prowadzić ten proces na oczach opinii publicznej. Wszystkim poza nami.

Sędzia i biuro prokuratora okręgowego mieli powiązania polityczne, dlatego życzliwa współpraca z mediami była dla nich korzystna. Poza tym łatwo się poddawali – a już zwłaszcza sędzia Rittenband – urokom przebywania w centrum uwagi: